



IAN

RANKIN

NAWET

ZDZICZAŁE PSY

JOHN REBUS
ZNÓW NA GRANICY PRAWA

Prolog

Pasażer wysunął kasetę z odtwarzacza i cisnął ją na tylne siedzenie.

– To byli Associates – poskarżył się kierowca.
– Mogą się asocjować gdzie indziej. Facet śpiewa, jakby mu ściskali jaja w imadle.

Kierowca pomyślał o czymś i uśmiechnął się.

– Pamiętasz, jak zrobiliśmy to temu... jak on się nazywał?

Pasażer wzruszył ramionami.

– Był winien szefowi pieniądze. Reszta nie miała znaczenia.

– To nie był chyba duży dług? – mruknął kierowca.

Pasażer wbił wzrok w przednią szybę.

– Daleko jeszcze?

– Niecały kilometr. W tych lasach sporo się działo, nie?

Pasażer nie odpowiedział. Na dworze było ciemno, od jakichś dziesięciu kilometrów nie minęli żadnego innego samochodu. Hrabstwo Fife w głębi lądu, pola skoszone i czekające na zimę. Niedaleko świńska farma, z której już korzystali.

– Jaki jest plan? – zapytał kierowca.

– Mam tylko jedną łopatę, więc rzucimy monetę, kto będzie kopał. Ściągniemy z niego ubranie, a później je spalimy.

– Ma tylko majtki i podkoszulek.
– Nie widziałem żadnych tatuaży ani sygnetów. Nie będziemy musieli nic odcinać.

– To tutaj. – Kierowca zatrzymał samochód, wysiadł i otworzył bramę. Zryty koleinami trakt prowadził w głąb lasu. – Mam nadzieję, że nie ugrzęźniemy – powiedział, wsiadając z powrotem. – Żartowałem – dodał na widok miny współtowarzysza.

– No, ja myślę.

Przejechali powoli kilkaset metrów.

– Tu mogę zawrócić – rzucił kierowca.

– Więc zrobmy to tutaj.

– Poznajesz to miejsce?

Pasażer pokręcił głową.

– Minęło trochę czasu.

– Zakopaliśmy chyba jednego tam, na wprost przed nami, i drugiego po lewej stronie.

– W takim razie spróbujmy po prawej. Latarka jest w schowku?

– Z nowymi bateriami, jak kazałeś.

Pasażer zajrzał do schowka.

– No to do roboty.

Wysiedli i przez niecałą minutę stali w miejscu, czekając, aż ich wzrok przywyknie do ciemności, i nasłuchując podejrzanych dźwięków.

– Wybiorę odpowiednie miejsce – powiedział pasażer i odszedł z latarką.

Kierowca zapalił papierosa i otworzył tylne drzwi mercedesa. To był stary model, więc zawiasy głośno zaskrzypiały. Zabrał kasetę Associates z tylnego siedzenia i wsunął ją do kieszeni kurtki, w której zabrzęczały drobne. Potrzebował ich, żeby rzucić monetą. Zatrzasnął drzwi, podszedł do bagażnika i otworzył klapę. Ciało było zawinięte w niebieskie prześcieradło. To znaczy było zawinięte wcześniej, bo podczas jazdy prowizoryczny całun

się zsunął. Było widać gołe stopy, blade chude nogi i wystające żebra. Kierowca oparł łopatę o jedno z tylnych świateł, ale ześlizgnęła się na ziemię. Klnąc pod nosem, pochylił się, żeby ją podnieść.

I wtedy właśnie trup ożył – wyskoczył z prześcieradła i bagażnika, a kiedy dotknął stopami ziemi, o mało nie zwałił z nóg kierowcy. Ten stęknął i papieros wypadł mu z ust. Trzymając w jednej ręce łopatę, drugą próbował się podeprzeć. Z otwartego bagażnika zwisało prześcieradło; chłopak, który był nim owinięty, zniknął między drzewami.

– Paul! – wrzasnął kierowca. – Paul!

Najpierw pojawiła się latarka, potem facet o imieniu Paul.

– Co się, kurwa, dzieje, Dave?! – zawołał.

Kierowca wskazał drżącą ręką las.

– Dał nogę!

Paul zajrzał do pustego bagażnika i syknął przez zaciśnięte zęby.

– No to zasuwaj za nim! – warknął. – Albo ktoś inny wykopie dół dla nas.

– Powstał z martwych – mruknął drżącym głosem Dave.

– Więc znowu go uśmiercimy. – Paul wyjął z wewnętrznej kieszeni nóż. – Jeszcze wolniej niż przedtem.

1

Malcolm Fox zbudził się z kolejnego nocnego koszmaru.

Chyba wiedział, dlaczego go prześladowały – miał wątpliwości co do swojej pracy. Nie był pewien, czy chce ją dalej wykonywać, i bał się, że okaże się niepotrzebny. Poprzedniego dnia kazano mu jechać do Dundee. Kiedy zapytał, dlaczego ma to zrobić, usłyszał, że funkcjonariuszowi, którego miał zastąpić, kazano jechać do Glasgow, żeby złuzował kogoś innego.

– Czy w takim razie nie łatwiej byłoby wysłać mnie do Glasgow? – zdziwił się.

– Zapytać zawsze możesz.

Podniósł więc słuchawkę i to zrobił. Dowiedział się, że policjant z Glasgow przyjeżdża do Edynburga, żeby popracować za kogoś innego – i w tym momencie dał za wygraną i pojechał do Dundee. A dzisiaj? Kto to mógł wiedzieć? Jego szef z komisariatu przy St Leonard's Street najwyraźniej nie miał pojęcia, co z nim począć. Po prostu o jednego inspektora za dużo.

– To przez tych weteranów – usprawiedliwił się komisarz Doug Maxtone. – Blokują system. Kilku z nich powinno dostać złoty zegarek i...

– Rozumiem – mruknął Fox.

Sam też miał już za sobą idealistyczne porywy młodości.

Za trzy lata mógł odejść ze służby z okazałą emeryturą i zostałoby mu jeszcze sporo życia.

Stojąc pod prysznicem, rozważał swoje możliwości. Za chałupę w Oxfangs, którą nazywał domem, mógł dostać całkiem niezłą kasę, dosyć, żeby się gdzieś przenieść. Musiał jednak wziąć pod uwagę ojca – dopóki żył Mitch, Fox nie mógł wyjechać zbyt daleko. No i była jeszcze Siobhan. Nie byli kochankami, lecz spędzali ze sobą coraz więcej czasu. Jeśli któreś z nich się nudziło, wiedziało, że zawsze może zadzwonić. Mogli pójść do kina lub do restauracji albo po prostu przekąsić coś, oglądając film na DVD. Na Boże Narodzenie kupiła mu sześć filmów i przed końcem starego roku zdążyli obejrzeć trzy. Myślał o niej, ubierając się. Siobhan kochała tę pracę bardziej niż on. Za każdym razem, kiedy się spotykali, przynosiła jakieś plotki. A potem pytała go o nowiny, a on wzruszał ramionami i tylko czasami rzucał jej jakieś kąski. Łykała je niczym rarytasy, podczas gdy dla niego były zwykłymi okruchami chleba. Pracowała przy Gayfield Square, jej szefem był James Page. Wszystko wydawało się tam lepiej zorganizowane niż przy St Leonard's. Fox zastanawiał się, czy nie poprosić o transfer, ale wiedział, że nigdy do tego nie dojdzie – stwarzałby tam taki sam problem. O jednego inspektora za dużo.

Czterdzieści minut po śniadaniu zaparkował przy St Leonard's i siedział jeszcze przez chwilę w samochodzie, mobilizując się wewnętrznie i wodząc dłońmi po kierownicy. W takich momentach żałował, że nie pali – mógłby zająć czymś ręce, na moment się wyłączyć. Tymczasem położył na języku pasek gumy i zamknął usta. Przez tylne drzwi komisariatu wyszedł mundurowy i zaczął otwierać paczkę papierosów. Kiedy Fox ruszył w jego stronę, popatrzyli na siebie i facet skinął ledwo dostrzegalnie głową. Wiedział, że Fox pracował kiedyś w wydziale spraw wewnętrznych – wiedzieli o tym wszyscy w komisariacie. Niektórym chyba

to nie przeszkadzało, inni nie kryli się z niechęcią. Łypali na niego spode łba, odpowiadali monosylabami, zamykali mu przed nosem drzwi, zamiast je przytrzymać.

– Jesteś dobrym gliniarzem – powtarzała mu nieraz Siobhan. – Żałuję, że tego nie widzisz...

W sali odpraw dochodzeniówki Fox zorientował się, że coś się dzieje. Przystawiano sprzęt i krzesła. Poczuł na sobie chmurny wzrok Douga Maxtone'a.

– Robimy miejsce dla nowej ekipy – wyjaśnił szef.

– Nowej ekipy?

– Z Gartcosh, co oznacza, że w większości są z Glasgow... Wiesz, jaki mam do nich stosunek.

– Z jakiej okazji?

– Nikt nic nie mówi.

Fox zuł dalej gumę. W dawnej stalowni Gartcosh mieścił się obecnie Scottish Crime Campus, połączenie policji, prokuratury, laboratorium kryminalistycznego oraz urzędu celnego. W ich gestii było między innymi zwalczanie przestępczości zorganizowanej i terroryzmu. Choć działali od ubiegłego lata, nigdy jeszcze nie miał okazji przekroczyć ich progu.

– Ile osób tu zawita? – zapytał.

Komisarz spiorunował go wzrokiem.

– Szczerze mówiąc, Malcolm, nie sądzę, bym któregośkolwiek z nich witał z otwartymi rękami. Ale potrzebujemy biurek i krzeseł dla sześciu osób.

– A także komputerów i telefonów?

– Przywiozą własne. Prosili jednak... – Maxtone wyjął z kieszeni kartkę i udał, że ją czyta – o kogoś, kto udzielałby im dodatkowego wsparcia i kogo mogliby wcześniej przeświecić.

– Polecenie przyszło z góry?

– Od samego komendanta głównego. – Komisarz zmiął kartkę i cisnął ją w kierunku kosza na śmieci. – Przyjeżdżają mniej więcej za godzinę.

- Czy nie powinienem tu trochę posprzątać?
- Oczywiście możesz... ale i tak nie będziesz miał gdzie siedzieć.
- Zabiorą mi moje krzesło?
- I biurko. – Maxtone wciągnął głośno powietrze i wypuścił je z płuc. – Więc jeśli masz w szufladach coś, czego nie powinni zobaczyć... – Przywołał na twarz kwaśny uśmiech. – Pewnie żałujesz, że nie zostałeś w łóżku, nie?
- Gorzej, panie komisarzu... zaczynam żałować, że nie zostałem w Dundee.

. . .

Siobhan Clarke zaparkowała na żółtej linii przy St Bernard's Crescent – ulicy tak samo szacownej jak inne w edynburskim New Town, z oknami od sufitu do podłogi i kolumnami przy fasadach domów. Dwa biegnące łukiem rzędy szeregowców w georgiańskim stylu przedzielał niewielki skwer z drzewami i ławkami. Parę kroków stąd był Raeburn Place ze swoimi sklepami i knajpami, a także Water of Leith. Siobhan kilka razy zabrała Malcolma na urządzany tu w sobotę targ spożywczy i żartowała, że mogłby zamienić swój dom na jedno z mieszkań w Stockbridge.

Zabrzęczała jej komórka... o wilku mowa.

- Znowu jesteś na północy? – zapytała.
 - Nie w tym momencie – odparł Fox. – Ale mamy tutaj duże przetasowania.
 - Ja też mam nowiny. Przydzielono mnie do śledztwa w sprawie Mintonia.
 - Kiedy?
 - Dzisiaj rano. Miałam ci powiedzieć podczas lunchu. Śledztwo prowadzi James i zależało mu, żebym wzięła w nim udział.
 - Całkiem słusznie.
- Clarke zamknęła samochód i ruszyła w stronę

pomalowanych na czarno frontowych drzwi ze lśniącą mosiężną kołatką i skrzynką na listy. Pilnująca ich umundurowana policjantka skinęła jej lekko głową, na co Clarke odpowiedziała uśmiechem.

– Znajdzie się tam dla mnie miejsce? – zapytał Fox. Chciał, by zabrzmiało to jak żart, ale czuła, że nie jest mu wcale do śmiechu.

– Muszę kończyć, Malcolm. Pogadamy później.

Przerwała połączenie i czekała, aż policjantka otworzy kluczem drzwi. Mediów już nie było – pojawiły się i zniknęły. Na stopniu leżało kilka małych bukietów zostawionych przez sąsiadów. Przy kolumnie po lewej stronie drzwi był staroświecki dzwonek, a nad nim tabliczka, na której widniało wygrawerowane dużymi literami jedno słowo: MINTON.

Policjantka otworzyła przed nią drzwi, a Clarke podziękowała jej i weszła do środka. Na drewnianej podłodze w holu leżało trochę poczty. Podniosła ją i zobaczyła, że kolejne koperty odłożono na stół. Listy zostały otwarte i sprawdzone – najprawdopodobniej przez ludzi z patrolu interwencyjnego. Było tam również trochę ulotek, w tym jedna ze znanej jej hinduskiej knajpy na południu miasta. Lord Minton nie sprawiał na Clarke wrażenia kogoś, kto zamawiałby dania na wynos, ale nigdy nie wiadomo. Ekipa dochodzeniowa sprawdziła hol i zebrała odciski palców. Lord Minton – pełne nazwisko: David Menzies Minton – został zamordowany przed dwoma dniami, wieczorem. Nikt w sąsiedztwie nie słyszał odgłosów włamania ani samej napaści. Sprawca pokonał po ciemku dwa ogrodzenia i dotarł do okienka na poziomie ogrodu, tuż obok zamkniętych na zasuwę tylnych drzwi. Wybił szybę i wpełzł do mieszczącej się w przyziemiu pralni. Minton był w tym momencie w swoim gabinecie na parterze. Z oględzin zwłok wynikało, że został uderzony w głowę i uduszony, a potem sprawca okładał jeszcze

martwe ciało.

Clarke przystanęła w cichym spokojnym holu, by zorientować się w rozkładzie pomieszczeń, następnie wyjęła z zawieszonej na ramieniu torby akta i ponownie je przejrzała. Minton miał siedemdziesiąt osiem lat, nigdy się nie ożenił, od trzydziestu pięciu lat mieszkał pod tym adresem. Skończył George Heriot's School, a później Uniwersytet Edynburski i St Andrews. Pnąc się po szczeblach prawniczej kariery, dochrapał się stanowiska Lorda Adwokata i był oskarżycielem w kilku najsłynniejszych szkockich procesach karnych. Wrogowie? U szczytu kariery miał ich zapewne wielu, lecz przed dziesięciu laty usunął się w cień. Co jakiś czas wyjeżdżał do Londynu, żeby wziąć udział w obradach Izby Lordów. Prawie codziennie odwiedzał swój klub przy Princes Street, gdzie czytał gazety i rozwiązywał tyle krzyżówek, ile tylko się dało.

– To włamanie, które poszło niezgodnie z planem – uznał szef Clarke, komisarz James Page. – Sprawca nie spodziewał się, że zostanie kogoś w domu. Wpadł w panikę i po zabawie.

– Ale po co go dusił, a potem bił, skoro Minton był już martwy?

– Tak jak powiedziałem: wpadł w panikę. To wyjaśnia, dlaczego nic nie zabrał. Nasz napastnik był pewnie naćpany i potrzebował kasy na następną działkę. Szukał tego, co zwykle: smartfonów, iPadów, czegoś, co się łatwo sprzedaje. Nie rzeczy, które mogły być w posiadaniu jego lordowskiej mości. Może to go zdenerwowało i wyładował w ten sposób frustrację.

– Brzmi przekonująco.

– Ale i tak chcesz to sama zobaczyć. – Page pokiwał powoli głową. – Więc na co czekasz, jedź.

Salon, jadalnia i kuchnia na parterze, nieużywane służbówki i pralnia w przyziemiu. Okno pralni zabite

zostało deskami, okienna rama – wyjęta wraz z odłamkami szyby i przekazana do laboratorium. Otworzyła tylne drzwi i omiotła wzrokiem nieduży zadbane ogródek. Lord Minton zatrudniał ogrodnika, ale ten w zimie przychodził tylko raz w miesiącu. Podczas przesłuchania wyraził swoje ubolewanie, poskarżył się także, że nie otrzymał zapłaty za poprzedni miesiąc.

Wchodząc po kamiennych schodach na parter, Clarke uświadomiła sobie, że poza toaletą zostało jej już do sprawdzenia tylko jedno pomieszczenie. W gabinecie było ciemno, grube czerwone aksamitne story zasunięto. Na dołączonych do akt zdjęciach widziała, że ciało lorda Mintona leżało przed jego biurkiem, na perskim dywanie, który również zabrano do zbadania. Włosy, ślina, włókna – każdy zostawia jakiegoś rodzaju ślady. Wyobrażano to sobie tak: Minton siedzi za biurkiem, wypisując czeki za gaz i elektryczność. Słyszy hałas i wstaje, żeby sprawdzić, co się dzieje. Nie dociera jednak daleko. Napastnik wpada do gabinetu i wali go czymś w głowę. Narzędzia zbrodni jeszcze nie odnaleziono; zdaniem patologa mógł to być młotek.

Książeczka czekowa leżała otwarta na zabytkowym biurku, obok drogiego na pierwszy rzut oka wiecznego pióra. Na biurku stały rodzinne fotografie w srebrnych ramkach – czarno-białe, przedstawiające chyba rodziców ofiary. Ramki były na tyle małe, że złodziej mógł je schować do kieszeni, nie zrobił tego jednak. Clarke wiedziała, że w kieszeni zawieszzonej na krześle marynarki znaleziono portfel lorda Mintona z nieruszoną gotówką i kartami kredytowymi. Złodziej nie zabrał także złotego zegarka, który ofiara miała na nadgarstku.

– Nie byłeś wcale w takiej desperacji, prawda? – mruknęła.

Niejaka Jean Marischal przychodziła dwa razy w tygodniu, żeby posprzątać. Miała własny klucz i rano to

ona znalazła ciało. Zeznała, że dom, prawdę mówiąc, nie potrzebował aż tak częstego sprzątanía; jej zdaniem jego lordowska mość lubił po prostu jej towarzystwo.

Na górze nie było zbyt wielu pomieszczeń. Dwa saloniki, które wyglądały, jakby nikt do nich od dłuższego czasu nie zaglądał; cztery sypialnie, podczas gdy właściwie potrzebna była tylko jedna. Pani Marischal nie przypominała sobie żadnego gościa, który zostałby na noc, żadnej prośzonej kolacji ani w ogóle żadnego przyjęcia. W łazience nie było nic ciekawego, Clarke zeszła więc z powrotem na dół i stanęła w holu z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Nie odkryto żadnych odcisków palców poza tymi, które należały do ofiary i jego sprzątaczkí. Nie było żadnych informacji o niezwykłych gościach ani kręcących się w pobliżu podejrzaných osobnikach.

Nic.

Panią Marischal poproszono, by dziś jeszcze raz przyszła do domu. Gdyby okazało się, że coś jednak skradziono, była jedyną osobą, która mogła to stwierdzić. Zespół dochodzeniowy powinien sprawiać wrażenie bardzo zapracowanego – spodziewano się, że będą zapracowani. Obecny Lord Adwokat chciał być dwa razy dziennie informowany o postępach śledztwa, podobnie jak premier szkockiego rządu. O dwunastej i o czwartej po południu miały się odbywać briefingi dla prasy, na których komisarz James Page powinien mieć do przekazania jakieś nowe informacje.

Pytanie tylko jakie?

Wychodząc, Clarke powiedziała pilnującej wejścia policjantce, żeby miała oczy i uszy szeroko otwarte.

– To nieprawda, że sprawca zawsze wraca na miejsce zbrodni, ale być może tym razem będziemy mieli odrobinę szczęścia...

W drodze na Fettes Avenue wstąpiła do sklepu i kupiła dwie gazety, sprawdzwszy wcześniej przy ladzie, czy

zamieściły odpowiednio duże nekrologi poświęcone zmarłemu. Nie spodziewała się ujrzeć w nich niczego, czego nie znalazła w trakcie półgodzinnej kwerendy w internecie, ale dzięki nim akta będą grubsze.

Ponieważ lord Minton był tym, kim był, zdecydowano, że ekipa dochodzeniowa będzie miała swoją bazę na Fettes Avenue, a nie przy Gayfield Square. Przy Fettes – czyli w Dużym Domu – do końca marca 2013 roku mieściła się komenda policji Lothian i Borders, lecz na prima aprilis zlikwidowano w Szkocji osiem regionalnych komend policyjnych, zastępując je jedną organizacją o nazwie Police Scotland. Zamiast komendanta Edynburg miał teraz nadinspektora, niejakiego Jacka Scoulara, tylko kilka lat starszego od Clarke. Fettes podlegało bezpośrednio Scoularowi, tu mieścił się dział administracyjny i tu organizowano wszelkie zebrania. Nie stacjonował tu żaden z policjantów wydziału dochodzeniowego, ale mieli pół korytarza pustych biur i zaproponowano je Jamesowi Page'owi. Dwoje posterunkowych, Christine Esson i Ronnie Ogilvie, przypinało właśnie zdjęcia i mapy do pustej ściany.

– Uznaliśmy, że będziesz chciała siedzieć przy oknie – powiedziała Esson. – Masz stamtąd przynajmniej jakiś widok.

Owszem, widok na dwie bardzo różne szkoły: Fettes College i Broughton High. Clarke przyglądała im się przez całe trzy sekundy, a potem powiesiła płaszcz na oparciu krzesła i usiadła. Rozłożywszy na biurku gazety, skupiła się na relacjach na temat zabójstwa. Przypomniano w nich kilka faktów z życia Mintona i zamieszczono parę fotografii wyciągniętych z archiwów. Sprawy, w których oskarżał; garden party z udziałem rodziny królewskiej; pierwsze pojawienie się w gronostajach.

– Zdeklarowany kawaler! – zawołała Esson, wciskając w ścianę kolejną pineskę.

– Co o niczym nie świadczy – ostrzegła ją Clarke. – A

to zdjęcie wisi krzywo.

– Nie, jeśli zrobisz o tak. – Esson przechyliła głowę o jakieś dwadzieścia stopni, lecz i tak przesunęła fotografię. Przedstawiała zwłoki w miejscu zbrodni. Ciało leżało bezwładnie na dywanie, jakby lord przewrócił się i zasnął po pijanemu.

– Gdzie szef? – zapytała Clarke.

– W Howden Hall – odparł Ogilvie.

– Tak? – W Howden Hall mieściło się miejskie laboratorium kryminalistyczne.

– Powiedział, że jeśli nie zdąży wrócić, ty poprowadzisz konferencję prasową.

Zerknęła na zegarek: została jej jeszcze godzina.

– Jak zwykle bardzo szlachetny – mruknęła, wracając do lektury pierwszego nekrologu.

Page wrócił zaraz po tym, jak przeczytała wszystkie i kazała Esson powiesić je na ścianie. Towarzyszył mu detektyw sierżant Charlie Sykes, pracujący na co dzień w wydziale dochodzeniowym w Leith. Został mu jeszcze rok do przejścia na emeryturę i mniej więcej tyle samo do zawału serca, przy czym tego drugiego spodziewał się raczej prędzej niż pierwszego, o czym informował Clarke praktycznie podczas każdej ich rozmowy.

– Krótka aktualizacja – zaczął lekko zdyszany Page, zbierając swoją ekipę. – Nadal odwiedzamy sąsiednie domy i mamy dwóch ludzi, którzy przeglądają taśmy z umieszczonych w pobliżu kamer. Ktoś siedzi przy komputerze, żeby ustalić, czy w samym mieście i poza nim nie ma innych przypadków podobnych do naszego. Powinniśmy w dalszym ciągu sprawdzać grono przyjaciół oraz znajomych zmarłego i ktoś będzie musiał przespacerować się do archiwum, żeby dokładnie przeświecić karierę zawodową lorda Mintona...

Clarke zerknęła na Sykesa, a ten mrugnął do niej okiem, co oznaczało, że w Howden Hall coś się wydarzyło. Z całą

pewnością w Howden Hall coś się wydarzyło.

– Musimy także wziąć pod lupę dom i wszystko, co się w nim znajduje – kontynuował Page.

Clarke głośno odchrząknęła, co przerwało jego potok słów.

– Chętnie się dowiemy, jakie zaszły nowe okoliczności, komisarzu – zachęciła go. – Bo odnoszę wrażenie, że nie uważasz już, że to robota spanikowanego włamywacza.

Page pogroził jej palcem.

– Nie możemy jeszcze wykluczyć tej ewentualności. Z drugiej strony mamy jednak to... – dodał, wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki złożoną kartkę. Była to jakaś fotokopia. Clarke, Esson i Ogilvie wyciągnęli szyje, żeby jej się lepiej przyjrzeć. – List znaleziono w portfelu ofiary, wciśnięty za kartą kredytową. Szkoda, że nikt nie zauważył go wcześniej, ale, tak czy inaczej...

Fotokopia przedstawiała wiadomość napisaną dużymi literami na karteluszkach o rozmiarach mniej więcej siedem na dwanaście centymetrów.

ZABIJĘ CIĘ ZA TO, CO ZROBIŁEŚ.

Ktoś głośno nabrał powietrza, a potem na kilka sekund zapadła cisza, którą przerwało dopiero beknięcie Charliego Sykesa.

– Na razie tego nie ujawniamy – ostrzegł Page. – Jeśli trafi to w ręce jakiegoś pismaka, ktoś położy głowę pod topór. Czy to jasne?

– Tak czy owak, teraz sprawa wygląda inaczej – mruknął Ronnie Ogilvie.

– Diametralnie – przyznał Page, kiwając powoli głową.

2

– Dlaczego śledztwo jest prowadzone przy Fettes Avenue? – zapytał tego wieczoru Fox, siedząc naprzeciwko Clarke w restauracji przy Broughton Street. – Nie, niech sam zgadnę... to ma odzwierciedlać status Mintoną?

Clarke przełknęła to, co miała w ustach, i pokiwała głową.

– Jeśli odwiedzi nas jakaś gruba szycha albo polityk, Fettes zdecydowanie przebiją Gayfield Square. Dygnitarze nie natkną się przypadkiem na żadnego małego złodziejzka.

– I to lepsze miejsce na zwołanie konferencji prasowej. Oglądałem Page'a w telewizji. Ciebie jakoś nie dostrzegłem.

– Poszło mu chyba całkiem nieźle.

– Tyle że w tego rodzaju sprawach brak wiadomości niekoniecznie jest dobrą wiadomością. Pierwsze czterdzieści osiem godzin jest kluczowe i tak dalej. – Fox podniósł do ust szklankę wody. – Ktokolwiek to zrobił, jest w naszej kartotece, prawda? Czy to debiutant?... To tłumaczyłoby, dlaczego spieprzył robotę.

Clarke pokiwała głową, unikając kontaktu wzrokowego z Foxem i nie odzywając się.

– Jest coś, czego mi nie mówisz, Siobhan.

– Trzymamy to w sekrecie.

– Co takiego trzymacie w sekrecie?

– To, czego ci nie mówię.

Fox czekał, wbijając w nią wzrok. Clarke odłożyła widelec i rozejrzała się. Restauracja była w dwóch trzecich pusta, nikt nie siedział dość blisko, żeby ich podsłuchać. Mimo to nachyliła się nad talerzem tak, że ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

– Ofiara dostała list – powiedziała półgłosem.

– Zostawił go zabójca?

– Był w portfelu lorda Mintona, schowany. Mógł tam tkwić od kilku dni albo tygodni.

– Więc nie macie pewności, że zostawił go napastnik?

– Fox przez chwilę się zastanawiał. – Mimo to...

Clarke ponownie pokiwała głową.

– Jeśli Page dowie się, że ci powiedziałam...

– Rozumiem. – Fox odchylił się na krześle i dziobnął widelcem marchewkę. – Ale to komplikuje sprawę.

– Nie musisz mi tego mówić. Lepiej powiedz, co nowego u ciebie.

– Ni stąd, ni zowąd pojawiła się ekipa z Gartcosh. Zainstalowali się dziś po południu i Doug Maxtone jest wpieniony.

– Jest tam ktoś, kogo znamy?

– Jeszcze mnie nie przedstawiono. Szefowi nie powiedziano, po co tu przyjechali, ale najwyraźniej poinformują go rano.

– Czy może chodzić o terrorystów? – zapytała Clarke, a Fox wzruszył ramionami. – Jak duża jest ta ekipa?

– Sześć osób przy ostatnim liczeniu. Zajęli pomieszczenia wydziału dochodzeniowego, co oznacza, że musieliśmy się przenieść do schowka na szczotki przy końcu korytarza. Jak twój morszczuk?

– W porządku. – Ale prawie go nie tknęła, koncentrowała się na karafce z białym winem.

Fox dolał sobie wody z dzbanka. Zauważył, że szklanka Clarke jest nadal pełna.

- Co było w tym liście? – zapytał.
- Autor poinformował lorda Mintona, że zabije go za coś, co ten zrobił.
- I nie był to charakter pisma samego lorda?
- List napisano dużymi literami, ale nie, nie sędzę, żeby to on był autorem. Użyto taniego czarnego długopisu, nie wiecznego pióra.
- Wszystko to bardzo tajemnicze. Myślisz, że był tylko jeden list?
- Jutro z samego rana policja zacznie przeszukiwać dom. Już by tam byli, gdyby Page zdążył wszystko zorganizować... mamy budżet na siedmiodniowy tydzień pracy i dowolną liczbę nadgodzin.
- No to powodzenia. – Wzniósł toast wodą.
- Komórka, którą Clarke położyła wcześniej na stole obok kieliszka, zaczęła wibrować. Zerknęła na wyświetlacz i postanowiła odebrać.
- To Christine Esson – wyjaśniła Foxowi, podnosząc telefon do ucha. – Nie powinnaś być już w domu i leżeć do góry brzuchem, Christine? – zapytała, jednak po chwili zmrużyła oczy, słuchając swojej rozmówczynie. Wolną lewą ręką sięgnęła instynktownie po wino, ale kieliszek był pusty, podobnie jak karafka. – Okay – odezwała się w końcu. – Dzięki za informację. – Zakończyła rozmowę i postukała się kantem komórki w usta.
- Co jest? – zapytał Fox.
- Mamy zgłoszenie o strzale w Merchiston. Christine dowiedziała się o tym od swojej koleżanki w dyżurce. Dzwonił ktoś, kto mieszka przy tej samej ulicy. Radiowóz jest już w drodze.
- Może w jakimś starym rzęchu strzelił gaźnik?
- Dzwoniący słyszał odgłos rozbijanej szyby... prawdopodobnie w oknie salonu – odparła. – W domu należącym do pana Cafferty’ego – dodała po chwili.
- Dużego Gera Cafferty’ego?